
TELEWIZYJNA WYTWÓRNI FILMOWA

Generalny projektant * Targi Lipskie * Koncepcja TWF * Mangalia - Albenia * Makieta TWF * Trójmiasto * Projekt techniczny

W dniu 1 stycznia 1974 roku Prezydent Miasta Krakowa i Przewodniczący Komitetu ds. Radia i Telewizji zawarli umowę o wspólnej realizacji, wyposażeniu i uruchomieniu Telewizyjnej Wytwórni Filmowej w Krakowie. Obie umawiające się strony uzgodniły, że władze Krakowa zabezpieczą lokalizację wspólnej inwestycji i sfinansują roboty budowlane, natomiast KRiTV przygotuje program i dokumentację techniczną budowy oraz poniesie koszty zakupu i montażu całego wyposażenia technologicznego. Inwestorem bezpośrednim z ramienia Urzędu m. Krakowa wyznaczona została Dyrekcja Rozbudowy Miasta Krakowa I, gdyż budowa TWF zlokalizowana została w Łęgu-Czyżynach, to jest w jej zasięgu terytorialnym. Natomiast KRiTV w Warszawie scedował część swych obowiązków koordynacyjnych, związanych z nową inwestycją, na Krakowski Ośrodek Telewizyjny.

Trzeba przypomnieć, że zamiar budowy realizacji nowej dużej inwestycji TV w Krakowie przypałał w okresie bardzo burzliwego rozwoju TVP i poważnej rozbudowy jej bazy produkcyjnej w Polsce. Szybko wzrastała produkcja i emisja programów telewizyjnych i trwała równoczesna rozbudowa i budowa kilku nowych regionalnych ośrodków TVP. W tym zakresie idealnie współgrały ze sobą hasła i dyrektywy najwyższych władz państwowych o przyspieszonym rozwoju kraju i menedżerskie talenty aktualnego Prezesa KRiTV Macieja Szczepańskiego.

Jednakże rychło okazało się, iż KRiTV nie ma już mocy produkcyjnych w swym własnym Biurze Studiów i Projektów RiTV na opracowanie dokumentacji projektowej na budowę kolejnej, nowej inwestycji w Krakowie. Zaproponowano więc, by jej opracowanie zlecić do jakiegoś większego krakowskiego biura projektowego. Faktycznie zlecenie to trafiło wkrótce, w lutym, bezpośrednio i imiennie do mnie. Po zapoznaniu się z programem inwestycji, zgodziłem się na podjęcie tematu i na przejęcie funkcji generalnego projektanta Telewizyjnej Wytwórni Filmowej w Krakowie, która jak się wnet okazało, stała się mym "tematem życia", używając projektanckiego żargonu.

Jako architekt miałem zająć się stworzeniem wizji architektonicznej i funkcjonalnej nowego obiektu, a jako kierownik pracowni koordynacją opracowania całej skomplikowanej dokumentacji projektowej. Rozwahałem wtedy ewentualną rezygnację z funkcji kierownika pracowni i zajęcia się wyłącznie pracami projektowymi, ale moja pracownia PW-2 funkcjonowała sprawnie i ostatecznie, za radą dyrektora biura, pozostałem kierownikiem pracowni na 3/4 etatu. Na bezpośrednie projektowanie miałem więc, formalnie biorąc 1/4 etatu i ... czas wolny od pracy.

Jak zwykle swe prace projektowe rozpocząłem od zapoznania się z problematyką i technologią produkcji telewizyjnej. Przede wszystkim zwiedziłem Krakowski Ośrodek TV. Otrzymałem stałą przepustkę na wejście do Ośrodka, miałem dostęp do wszelkiej dokumentacji projektowej, możliwość podglądu organizacji audycji TV, a kierownicy poszczególnych działów i warsztatów wtajemniczali mnie w arkana swej profesji. Otrzymałem w tym zakresie pełne wsparcie ze strony Dyrektora OTV Zbigniewa Skubackowskiego i pomoc ze strony energicznych i przesympatycznych Danuty Zapałowej i Teresy Nowak z Wydziału Inwestycji.

W marcu moje biuro zorganizowało kilkudniową wycieczkę autokarową do NRD na Targi Lipskie i do Drezna. Oczywiście wziąłem w niej udział. Kilka razy byłem na Mię-

dzynarodowych Targach w Poznaniu, spodziewałem się więc, że Targi Lipskie będą równie ciekawe. Faktycznie organizowane były na bodaj jeszcze większą skalę, niż poznańskie. Zapamiętałem zwłaszcza największe eksponaty, jakimi były gigantyczna



Targi Lipskie 1974 r.

gąsienicowa koparka czerpakowa dla kopalń węgla brunatnego oraz wielkie dźwigi i wywrotki na podwoziach kołowych, w których koła były znacznie większe od człowieka. W polskim pawilonie specjalnie okazałe prezentowały się stoiska z artykułami produkcji rolniczej, "Polmosu" i "Cepelii". Ale ja najwięcej czasu poświęciłem na zdobywaniu prospektów i oglądaniu urządzeń klimatyzacyjnych, a to w aspekcie ich zastosowania w projektowanej przeze mnie TWF.

Nasza wycieczka wiodła w ogóle przez trzy duże miasta: Lipsk, Halle i Drezno. Lipsk to 600 tys. miasto, wielki wszechstronny ośrodek przemysłowy, handlowy, naukowy i kulturalny. Zwiedziliśmy prócz Targów także centrum miasta i niedaleki monumentalny, prawie 100-metrowej wysokości, Pomnik Bitwy Narodów, który wzniesiony został w stulecie zwycięstwa koalicji Austrii, Prus i Rosji nad francuskimi armiami Napoleona I w 1813 roku.

O połowę mniejsze Halle to przede wszystkim wielki ośrodek przemysłowy, centrum górnictwa odkrywkowego węgla brunatnego. Miasto wyróżniało się bardzo nowoczesną, wysokościową zabudową swego śródmieścia. Na końcu, w drodze powrotnej do kraju, zwiedziliśmy Drezno nad Łabą. To ponad półmilionowe miasto pełne jest muzeów, pałaców i kościołów. Było ich w tej dawnej stolicy Królestwa Saksonii więcej, lecz zburzone w kwietniu 1945 roku w jednym dywanowym nalocie bombowców amerykańskich, nie zostały jeszcze do 1974 r. odbudowane. Najwspanialej prezentował się słynny Zwinger - zespół pałacowy z galerią malarstwa barokowego, zbiorami sztuki, zegarów i in. Zwiedziliśmy też jakieś muzeum z przebiegłymi zbiorami ceramiki oraz Drezdeńską Galerię malarstwa europejskiego m. in. z obrazem "Madonna Sykstyńska" Rafaela.



Jeden z licznych pałaców drezdeńskich

Z pobytu w Dreźnie zapamiętałem jeszcze kolację, jaką raczyłem się na jednej z centralnych ulic miasta. Mianowicie bardzo popularne były wówczas (są zapewne i dzisiaj) uliczne stoiska, sprzedające gorące kielbaski z musztardą i bułką. Tyle, że te porcje białej kielbasy były ogromne, miały chyba powyżej ćwierci kilograma wagi.

Za niewiele dni miałem możliwość dodatkowo ocenić wagę tych drezdeńskich "kielbasek", kupując porcję rodzimej, smażonej kielbasy na stoisku karczmy z Jeleśni, urządzonym na krakowskich Błoniach z okazji święta "Gazety Krakowskiej". W ogóle, w Krakowie w okresie wiosenno-letnim 1974 r. wiele się działo. Wszelkie obchody, jak właśnie wydawnictwa "Gazety Krakowskiej", juwenalia, Dni Krakowa czy "Wianki" urządzane były z rozmachem, głównie za sprawą jubileuszowego XXX-lecia Polski Ludowej. Z początkiem czerwca zorganizowany został również zlot harcerski dzielnicy "Krowodrza". Wzięli w nim udział obaj nasi synowie. Głównym punktem zlotu była paradna defilada ulicą 3-Maja wszystkich zastępów harcerskich dzielnicy. Potem my, rodzice,



Grześ i wigwamy na Błoniach Krakowskich
larnych w Łodzi i Centralnego Ośrodka TV w Warszawie.

możliśmy zwiedzać miasteczko wigwamów na Błoniach i oglądać różne pomniejsze imprezy i zawody organizowane w ramach zlotu.

Ja po kilku dniach pojechałem na 3-dniową delegację, związaną z opracowywaniem przeze mnie projektem TWF, do Łodzi i Warszawy. Pojechały też ze mną obie panie z Wydziału Inwestycji OTV, które przygotowały i załatwiały wszystkie sprawy związane z programem tegoż wyjazdu. A chodziło o zwiedzenie przeze mnie i zapoznanie się z rozwiązaniami architektonicznymi i technologicznymi Wytwórni Filmów Fabularnych w Warszawie.

W Warszawie zdążyłem jeszcze zauważyć prowadzone tam na wielką skalę budowy Centralnego Dworca Kolejowego, Trasy Łazienkowskiej z mostem przez Wisłę i Wisłostrady. Wszystko to znajdowało się w końcowej fazie robót i wkrótce, w lipcu na XXX-lecie PRL, część z tych inwestycji oddana została do użytku.

Po skończeniu roku szkolnego obaj nasi synowie wyjechali, staraniem Kasi, na 2-tygodniowe kolonie letnie do Nowego Targu. Żona dbała o to, aby chłopcy, obok komfortu troski rodzicielskiej, poznali również smak przebywania w środowisku rówieśników i uczyli się karności, dyscypliny i porządku, jakie zwykle na obozach i koloniach dla młodzieży panowały. Było to dla nich już trzecie takie doświadczenie życiowe bez "parasola" rodzicielskiego, po prewatoriach na Dolnym Śląsku i obozie harcerskim w Bieszczadach. Jak z listów ich wynikało, to dawali sobie doskonale radę, a najwięcej to grali w kometkę i w ping-ponga, w którym się wyspecjalizowali. Grześ dodatkowo fascynował się samolotami i szybowcami na sportowym lotnisku miejscowego aeroklubu i marzyło mu się wtedy, że zostanie pilotem.

Ja w tym czasie pojechałem do Kopenhagi w ramach służbowej delegacji Komitetu RiTV. Było nas czterech wycieczkowiczów, trzej pozostali to projektanci z Biura Projektów KRiTV: dwóch technologów kol.kol. J. Skrzypek i T. Torbus, pracujących dla TWF w Krakowie i architekt, projektant Ośrodka TVP w Gdańsku. Celem delegacji było zapoznanie się z rozwiązaniami obiektów i organizacją Duńskiej Telewizji Państwowej w Kopenhadze.

Polecieliśmy w dniu 1 lipca rejsowym samolotem "LOT"-u na okres jednego tygodnia. Po godzinie z minutami od startu w Warszawie byliśmy już na lotnisku Kastrup pod Kopenhagą. Wówczas było to jedno z najnowocześniejszych lotnisk w Europie, wyposażone w tzw. "tubusy" ewakuacyjne dla pasażerów. Wszystko na miejscu było już przygotowane, od zakwaterowania w hotelu, po oficjalne przyjęcie nas przez dyrekcję duńskiego odpowiednika polskiego Komitetu RiTV i umożliwienie nam zapoznania się z obiektami, organizacją oraz pracą tamtejszego ośrodka TV.

Zakwaterowaliśmy w hotelu, adaptowanym w kilku zabytkowych kamieniczkach mieszkalnych w centrum miasta. W kosztach hotelu mieliśmy już "szwedzkie" śniadania, natomiast obiady spożywaliśmy głównie w stołówce ośrodka, dwa czy trzy razy zresztą w ramach oficjalnego podejmowania nas przez dyrekcję TV. Kolacje najczęściej pitraliśmy sami w pokojach hotelowych, we własnym zakresie, korzystając z przywiezionego z Polski prowiantu. Nie mieliśmy bowiem nazbyt wielu duńskich koron, dysponując jedynie skromnymi dewizami "kieszonkowymi" (80 dolarów USA), otrzymanymi w Warszawie w ramach delegacji, a poza tym wszystko w Danii wydawało nam się bardzo drogie. Większość czasu przebywaliśmy w obiektach duńskiej TV, jednak kilka popołu-

dni i dwa pełne dni poświęciliśmy na zwiedzanie Kopenhagi i wycieczkę nad cieśninę Sund.

Od początku naszego pobytu przydzielono nam pracownika TV, mówiącego biegle po niemiecku, gdyż w tym języku wszyscy się głównie porozumiewaliśmy. Dwóch z naszej czwórki znało ponad to język angielski, którym też z częścią tubylców można się było dogadać. Ten nasz cicerone udostępniał nam pomieszczenia i dokumentację projektową Ośrodka, służył wszelkimi informacjami i był zwykle tłumaczem w kontaktach z innymi pracownikami przedsiębiorstwa. W Danii istniał tylko jeden, niedawno ukończony, centralny państwowy Ośrodek TV, za to dysponował on aż ośmioma studiami nagrań, zresztą różnej wielkości.

Zakład znajdował się właściwie już na peryferiach miasta, wśród niskiej zabudowy mieszkaniowej i przy wylocie głównej autostrady w głąb wyspy Zelandii, na której stolica Danii się znajduje. Dojeżdżaliśmy doń autobusem i już w pierwszym dniu pobytu kupiliśmy tygodniową kartę przejazdów na określonej trasie.

Z naszym cicerone rozmawialiśmy głównie o sprawach branży telewizyjnej. Ale również o różnych innych duńskich sprawach i problemach. Na przykład pytałem go w jakim stopniu Kopenhaga uległa zniszczeniu w trakcie II wojny światowej. Usłyszałem w odpowiedzi, że w żadnym, za to bardzo poważnie miasto ucierpiało podczas zbombardowania go przez flotę angielską w1813 roku, w czasie wojen napoleońskich, gdyż Królestwo Duńskie było wtedy wiernym sojusznikiem Francji.

Pytaliśmy o problem mieszkań dla pracujących. Czynsze były bardzo wysokie, większość nowego budownictwa realizowana była przez specjalizowane spółdzielnie, których członkowie zaciągali indywidualne kredyty państwowe. Były one udzielane na 40 lat i na stosunkowo niskie oprocentowanie. Dominowała zasada, że członkowie spółdzielni mieszkaniowych świadczyli swą pracę na budowach. Nasz opiekun pokazywał swe spracowane ręce i mówił, że od roku wszystkie wolne dni, niedziele i urlopy, poświęca na pracę na swej budowie. Te kolonie spółdzielczych domków, często szeregowych i podobnych do siebie, wszędzie były widoczne.

W drugim, czy trzecim dniu naszego pobytu w Danii, gdy wchodziliśmy do hotelu, zaintrygowały nas głośnie okrzyki dochodzące z salki telewizyjnej, znajdującej się w suterrenach obiektu. To liczni turyści niemieccy, mieszkający w tym czasie w hotelu, dopingowali swą drużynę piłkarską w meczu z polską reprezentacją, rozgrywanym w Monachium w ramach mistrzostw świata w piłce nożnej. Również my zeszliśmy na dół do świetlicy, by wesprzeć ekipę Z. Górskiego. Faktycznie Lato, Szarmach, Deyna grali rewelacyjnie, Tomaszewski obronił nawet rzut karny, ale ostatecznie w ostatnich minutach gry, w ulewным deszczu, ulegliśmy 0:1 Niemcom. A turyści niemieccy ciesząc się ze swej wygranej, równocześnie głośno chwalili naszą grę na boisku. Ostatecznie polska reprezentacja zajęła doskonale trzecie miejsce w rozegranych w 1974 roku Mistrzostwach Świata w piłce nożnej.

W tym samym czasie żona gościła w krakowskim mieszkaniu kilkunastu pracowników swej firmy, którzy wprośli się na oglądanie meczu na kolorowym ekranie naszego "Rubina". Podobno dopingowali polską drużynę tak, jakby sami byli na trybunach stadionu w Monachium.

W kolejne popołudnie, w związku z padającym wciąż deszczem, wybraliśmy się do nieodległego muzeum "Louis Tussaud". Mieści się ono w starym, piętrowym, raczej niepozornym, budynku z czerwonej cegły. Natomiast zawartość muzeum okazała się niezwykle interesująca. Obejmuje galerię figur woskowych, drugą co do wielkości i znaczenia, po londyńskiej, na świecie. Składają się na nią setki modeli różnych historycznych, legendarnych i najświeższej daty, postaci świata polityki, nauki czy sztuki, wyglądających nadzwyczaj realistycznie. Wiele z nich sprawia rzeczywiście duże wrażenie na

oglądających, zwłaszcza, mrozące krew w żyłach, "gabinety okropności" z Frankensteinem, Draculą, Kaligulą itp. Mnie najbardziej utkwiła w pamięci wielka figura celtyckiego wojownika, stojącego przy wejściu do głównej ekspozycji w podziemiach budynku galerii. Przepasany skórą jakiegoś dzikiego zwierza, z rogami na głowie i okrwawionym toporem w rękę, a pod nim napis w kilku językach: "Pierwszy turysta angielski w Danii".

Przez jedno południe i wieczór zwiedzaliśmy wesołe miasteczko "Tivoli", położone w centrum miasta. Stłoczone jest na małej powierzchni, to też każdy jej metr kwadratowy wykorzystano starannie nad i pod ziemią. Na powierzchni różnorakie kolorowe karuzele, pawilony gastronomiczne, kwietniki, wodotryski, również jezioro z łódkami, a na nim wysepka z trzypiętrową pagodą chińską. Zaś pod ziemią groty z różnymi dziwami i rozświetlone salony gry z setkami automatów "jednorękiego bandyty", przy których wiekowe turystki niemieckie mocowały się ze swoim "szczęściem".



Pomnik byka na Placu Ratuszowym

Wyraźnie dla cudzoziemskich turystów przeznaczone były także liczne lokale "sex-porno-film". Prawie z obowiązku odwiedziliśmy jeden z nich, zadawając się najtańszym filmem za 1 koronę, na zaciemnionej salce byliśmy zresztą jedynymi widzami.

W kolejne popołudnie odbyliśmy przejażdżkę jedną z płaskodennych, pasażerskich barek, jakie cumowały na przystani kanału, znajdującego się w odległości zaledwie kilkuset metrów od Placu Ratuszowego. Wyjaśniło się szybko, dlaczego nasz statek jest taki niski i bez żadnych nadbudówek. Przejeżdżaliśmy bowiem pod bardzo niskimi mostami śródmiejskich ulic. Dopiero po kilkunastu minutach barka wypłynęła na szersze wody kanału portowego, oddzielającego Zelandię od małej wyspy Amager, na której rozlokowała się zresztą jedna z dzielnic i międzynarodowe lotnisko Kopenhagi.

Następnego dnia dodatkowo zwiedziliśmy port pasażerski, u nabrzeży którego cumował w tym czasie duży elegancki statek "Europa". W głębi po przeciwnej stronie zatoki widoczne były dwa polskie statki przy nabrzeżu węglowym. Polska była od długich lat stałym dostawcą węgla dla duńskiej gospodarki i nasze rudowęglowce dowoziły go nieustannie do Kopenhagi w swych wahadłowych rejsach ze Szczecina. Tuż obok odkryliśmy, właściwie przypadkowo, pomnik duńskiej syrenki na głazie, wystającym z wody. Podobna do syreny warszawskiej, lecz nie tak wojownicza, bo bez miecza i tarczy, a także bez rybiego ogona.



W głębi port węglowy dla polskich statków

W jednym z ostatnich dni pobytu, zaraz po śniadaniu pojechaliliśmy elektrycznym pociągiem na północny skraj wyspy Zelandii. Było to całkiem niedaleko i za około 30 minut znaleźliśmy się w małym miasteczku rybackim Helsingør, nad cieśniną Sund, w

miejsu jej największego przewężenia. Widzieliśmy wyraźnie ład po szwedzkiej stronie cieśniny i zabudowę miasta Helsingborg, leżącego dokładnie naprzeciw nas w odległości około 6 kilometrów. Na morzu między obu brzegami widać było kilka promów, kursujących wahadłowo tam i z powrotem. Nie było to jedyne połączenie promowe między obu państwami, ale zdecydowanie najkrótsze i chyba też najbardziej ruchliwe.

Nad samym brzegiem morza na niewielkim wzgórzu znajdował się duży i okazały zamek, który był zresztą również celem naszej wycieczki. Otoczony był niewysokimi murami obronnymi z licznymi XVIII-wiecznymi armatami. Weszliśmy do zamku, by go zwiedzić i ... szok. Wnętrza sal i komnat stanowiły jedną wielką ruinę, ściany bez tynków, stropy bez posadzek. I tylko, wzdłuż wyznaczonej trasy zwiedzania, małe wmurowane tabliczki informowały, że: "Tu były boazerie mahoniowe i lustra w złożonych ramach", lub "Tu była posadzka mozaikowa z kolorowych marmurów" itp. A generalnie już przy wejściu do zamku informowano zwiedzających, że zamek obrabowany został doszczętnie na początku XVIII wieku przez Szwedów. My w Polsce też doświadczyliśmy dwóch "potopów" szwedzkich, jeden w połowie XVII, drugi z początkiem XVIII wieku, ale za każdym razem nasi przodkowie robili co mogli, by zniszczenia odbudować i odrestaurować. Natomiast Duńczycy z ruin zrobili sobie atrakcję turystyczną.

W ostatnich kilku dniach każdy z nas starał się wydać swe przyoszczędzone "kieszonkowe" korony i porobić jakieś zakupy. Ja nie miałem z tym większych problemów, bo nie posiadałem żadnych dodatkowych koron, a to co miałem kupić, to mi synowie napisali wcześniej na karteczkach. Kupiłem więc dla Maćka jakieś drobne akcesoria do roweru, a dla Grzesia kilka plastikowych samolocików do sklejania. Prócz tego kilka czekoladek, figurkę duńskiej syrenki i inne podobne drobiazgi.

Zdumiewał mnie często absolutny brak klientów w sklepach, tak odmienny od naszego krajobrazu handlowego. Z kolegą chodziłem do dużego sklepu z tapetami, był tam olbrzymi ich wybór, ale on chciał koniecznie jakąś określoną ceglana tapetę i właściciel specjalnie dla niego mu ją ściągał z hurtowni czy tym podobne. Byliśmy więc w tym sklepie kilka razy, ale zawsze nieodmiennie jako jedyni klienci.

Pierwszym moim zadaniem, po podjęciu się wykonania dokumentacji na budowę Telewizyjnej Wytwórni Filmowej w Krakowie, było opracowanie projektu koncepcyjnego przedsięwzięcia inwestycyjnego, czyli jego wstępnej wizji przestrzennej. Otrzymywałem coraz więcej materiałów i danych wyjściowych do projektowania. Były to: szkicowy program produkcyjny i funkcjonalny; ustalenie działki terenowej oraz dokonanie jej pomiaru geodezyjnego i badania gruntu; informacje przedsiębiorstw komunalnych odnośnie możliwości i warunków zasilania inwestycji w energię elektryczną, wodę, gaz, odprowadzenia ścieków itp.

Dodatkowo inwestor proponował, by na terenie Wytwórni przewidzieć montaż dużego prefabrykowanego magazynu o wymiarach 60*24 m, który znajdował się w jego posiadaniu. Był to dar HiL, z przeznaczeniem właśnie dla tej inwestycji. Ponadto zdecydowano, że inwestycja będzie realizowana w dwóch etapach, przy czym należało przewidzieć możliwość jeszcze dalszej rozbudowy. Opierając się na tych wszystkich wytycznych i materiałach wyjściowych, w okresie od marca do czerwca opracowałem kilka szkicowych koncepcji TWF. Zmieniały się one nieustannie w wyniku kolejnych konsultacji i uzgodnień z KRiTV i równoczesnego uściślenia programu produkcyjno-funkcjonalnego oraz dopracowania branż projektowych.

Główne uzgodnienia dokonywałem w Biurze Inwestycyjnym KRiTV, gdzie prowadziłem długie konsultacje z technologami i dyrekcją Biura. Podczas jednej takiej debaty, w ferworze dyskusji, w trakcie picia kawy w telewizyjnej kawiarni, naszkicowałem na serwetce schemat proponowanego przeze mnie rozwiązania TWF w formie zblokowa-

nego prostokątnego obiektu z wewnętrznym patio, dzielącym obiekt na dwa etapy realizacyjne. W każdym z nich dominowały w środku hale zdjęciowe o wymiarach 36*30 i 24*30 metrów. I tak już faktycznie zostało. Potem, dyr. Leszek Piątkowski, przy każdej okazji, przypominał mi, zresztą z sympatią, że Telewizyjną Wytwórnę w Krakowie zaprojektowałem w kawiarni na papierowej serwetce.

Ostatecznie w lipcu, po powrocie z Kopenhagi, narodziła się szósta już wersja koncepcji, która obejmowała docelowe rozwiązanie Wytwórni jako obiektu o dwóch halach zdjęciowych o zróżnicowanej ich wielkości (1000 i 650 m²), przewidując jego realizację w dwu etapach. Według tej ostatniej koncepcji powierzchnia użytkowa TWF wynosiła 23 tys. m², a kubatura 150 tys. m³.

Po reprodukcji opracowanie to przelałem do formalnego zaopiniowania przez Komitet Radia i Telewizji w Warszawie i Urząd Miasta Krakowa, a sam wybrałem się, wraz z rodziną, na letni urlop wypoczynkowy "do ciepłych krajów".

W dniu 15 lipca 1974 r. pojechaliśmy, już po raz czwarty z "Turystą", na dwutygodniową turystyczną wycieczkę zagraniczną. Tym razem, też po raz czwarty, nad Morze Czarne, do Rumunii i Bułgarii. Podobnie jak w 1971 roku byliśmy w piątkę, gdyż znów towarzyszyła nam moja siostrzenica Grażyna z Wrocławia. Pojechaliśmy w wagonach sypialnych pociągiem pośpiesznym Warna-Expres, tranzytem przez Ukrainę. Podróż trwała ok. 27 godzin, wliczając zmianę, na stacjach granicznych ZSRR, podwozi wagonów z wąskotorowych na szerokotorowe i odwrotnie. Na stacji docelowej, to jest w rumuńskiej Mangalii znaleźliśmy się dopiero 17 lipca w godzinach porannych

Nasza grupa wycieczkowa liczyła znów około 40 osób i zakwaterowani zostaliśmy w pięciopiętrowym hotelu "Melodia" w kąpielisku Mangalia Wenus. Byliśmy już w Mangalii w 1970 roku, ale wówczas zamieszkiwaliśmy w kurorcie Jupiter, znajdującym się kilka kilometrów na północ od Wenus. Wenus i Jupiter były to jakby nowe dzielnice miasta Mangalia, położonego jeszcze bardziej na południe, a faktycznie nowe miejscowości turystyczno-wypoczynkowe, budowane wzdłuż wybrzeża morskiego w odstępach 2-3 kilometrów. Należały jeszcze do nich Saturn, Neptun i Olimp. Każdy z tych kurortów zabudowany był wyłącznie hotelami i obiektami handlowo-gastronomicznymi, na 8-12 tysięcy turystów, licząc z polami campingowymi. Wszystkimi zarządzał wielki państwowy koncern turystyczny Krajowe Biuro Turystyki "Litoral", jak to wcześniej opisałem. W czasie poprzedniej bytności w Jupiter zwiedziliśmy również Wenus, Neptun i Saturn. W międzyczasie ta planetarna rodzina rozrosła się jeszcze o kolejny kurort Olimp, usytuowany 3 kilometry za Neptunem. Gdy byliśmy w Jupiterze przed czterema laty, to z okien naszego hotelu widziałem daleko na horyzoncie jakieś jasne plamy w zielonej linii,

zakrzywionego nieco wybrzeża. Ale było za daleko, by dopatrzeć się jakichś szczegółów i budynków.

Teraz, po czterech latach, szosą wzdłuż wybrzeża, przez wszystkie Mangalie, jeździła elektryczna kolejka drogowa z kilkoma otwartymi wagonikami dla turystów. Postanowiliśmy skorzystać z niej i na drugi czy trzeci dzień pojechaliśmy do Jupitera i Neptuna, przypominając sobie te siostrzyce Mangalii. Lecz kolejka jechała jeszcze dalej, więc pojechaliśmy i my, i doświadczyliśmy szokującej przygody.

Zobaczyliśmy olbrzymi, czynny już, kompleks supernowoczesnych 7-9 kondygn-



Grześ na tarasach Mangalii „Olimp”

cyjnych hoteli, pobudowanych tarasami na wysokim stoku brzegu morskiego. Wszystkie olśniewająco białe, połączone wzajemnie pergolami i galeriami, w głębi których usytuowane były bary, kawiarnie, sklepy, placiki z rzezbami i fontannami. U stóp hoteli, wśród bujnej zieleni, otwarte baseny kąpielowe o fantazyjnych kształtach, a przed nimi szeroka piaszczysta plaża i morze ze swymi falami i błękitem. Wszystko zapelnione tłumem kąpiących się i plażujących turystów. Z całą pewnością nie było wśród nich Polaków. Od tamtego czasu z uwagą oglądam foldery, widokówki, obrazy telewizyjne przeróżnych ekstrawaganckich hoteli Nicei, hiszpańskiego Costa del Sol, wysp Balearskich, Kanaryjskich i innych Hawajów, często bardzo eleganckich, ale zawsze mniej imponujących od rumuńskiego Olimpu.



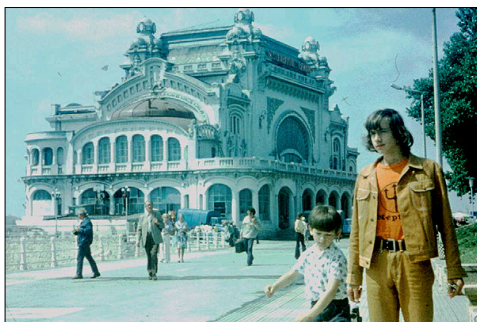
W Mangalii „Wenus”. Ja, Grażynka i Maciek
kilometrów nad Czarne Morze?

Zgodnie z programem "Turysty" byliśmy na całodzienniej wycieczce w Konstancy i Mamai. Konstanca to największe miasto na rumuńskim wybrzeżu Morza Czarnego, liczyło wówczas prawie 200 tysięcy mieszkańców. Jest największym portem morskim i znaczącym ośrodkiem przemysłowym w Rumunii. Początki miasta łączy się z osadnictwem greckim w VI wieku p.n.e. Swoją nazwę otrzymało już w czasie panowania Rzymian w I wieku, gdy stanowiło duży ośrodek administracyjny prowincji. Z tego też okresu, i późniejszego panowania Bizancjum, w mieście jest wiele wykopalisk i ruin budowli, które zwiedzaliśmy. Zwiedzaliśmy również port rybacki, centrum miasta, muzeum oceanograficzne z wielkim akwariem, egzotyczne delfinarium, z amfiteatrem dla widzów, oraz secesyjne kasyno gry na bulwarze nadmorskim.

Później autokarem pojechaliśmy do Mamai, dużego i najstarszego rumuńskiego uzdrowiska nadmorskiego. Bardzo zostało ono rozbudowane po II wojnie światowej i właściwie stanowiło już chyba część Konstancy. Mamaia była ostatnią większą miejscowością na wybrzeżu rumuńskim, licząc od granicy z Bułgarią, odległej o 70 kilometrów. I tylko ten pas wybrzeża liczył się dla Rumunii gospodarczo i turystycznie. W kierunku północnym, aż do granicy z Mołdawią, jest wprawdzie jeszcze około 150 km wybrzeża rumuńskiego, ale tereny te stanowią głównie zatoki i jeziora limanowe oraz wielkie, bagienne rozlewiska delty Dunaju. I tam już turyści nie jeżdżą, a co najwyżej botanicy, ornitolodzy i myśliwi.

W drodze powrotnej zwiedziliśmy, ale tylko z okien autokaru, jeszcze jeden duży

Również w Mangalii Wenus przybyło kilka dużych, nowych hoteli, które przybliżyły ten kurort do Jupitera. Zgodnie z panującą ówczesnie modą architektoniczną, miały one kształty wielkich piramid, ze skrzydłami, opadającymi tarasami w dół. Posiadały też, zgodnie z panującą modą w budownictwie hotelowym, własne sztywne, otwarte baseny kąpielowe. W ten sposób goście hotelowi nie musieli chodzić 200-300 metrów na piaszczystą plażę, by się wykąpać w ciepłej, zielonkawej wodzie morskiej. Bardzo to miłe, tylko po co ci turyści jechali setki i tysiące



Maciek przed kasynem gry w Konstancy

zespół wypoczynkowo-turystyczny Eforie Nord i Eforie Sud. Położone w pasie wybrzeża, pomiędzy morzem a wewnętrznym jeziorem, ośrodki te dysponują też dziesiątkami sanatoriów, wykorzystujących lecznicze właściwości wód jeziora. A wszystkie obiekty obu kurortów wprost skrywały się w wielkim parku o przegobatej szacie roślinnej.

Te turystyczne wycieczki odbywały się częściowo nową autostradą, jaką Rumuni budowali wzdłuż całego swego turystycznego wybrzeża, poza wszystkimi miejscowościami nadmorskimi. Przy okazji zobaczyliśmy rumuńskie żniwa, o których rozpoczęciu dowiedziałem się zresztą kilka dni wcześniej z lokalnej gazety. Na pierwszej jej stronie był sążnisty artykuł, informujący o tym fakcie, i zdjęcie prezydenta Ceausescu, podającego rękę kierowcy, siedzącemu w kombajnie zbożowym. Podczas jazdy autokarem bacznie te żniwa obserwowałem. Na rozległych, ciągnących się po horyzont polach, nie było ani jednego człowieka. Natomiast co kilka kilometrów widziałem stada 4-8 czerwonych kombajnów żniwnych i kręcące się między nimi ciężarówki z przyczepami na ziarno. A za kombajnami pozostawały na ściernisku tylko rzędy kostek sprasowanej słomy. Nie widziałem żadnych kosiarek konnych czy traktorowych, snopowiązałek, wozów, snopków, tak charakterystycznych dla polskiego krajobrazu żniwnego.

Po tygodniowym pobycie w Rumunii cała nasza grupa wycieczkowa spakowała się i autokar powiózł nas do Bułgarii na drugą część turystycznej eskapady. Po około trzech godzinach, uwzględniając odprawę paszportowo-celną na granicy bułgarskiej, znaleźliśmy się w ośrodku wypoczynkowym Albena, odległym od Mangalii o sto kilka kilometrów. Albena była nieco młodszym kurortem niż Słoneczny Brzeg, w którym przebywaliśmy w 1971 roku, gdyż pierwsze hotele w Albanii wybudowano dopiero w 1968 roku. Tym nie mniej w czasie naszego pobytu funkcjonowało już tam prawie 40 hoteli na 10 tysięcy łóżek i duży plac campingowy na 1500 miejsc.

Ośrodek położony w kotlinie nad małą zatoką morską, otoczony był z trzech stron zalesionymi wzgórzami. Architektura hoteli bardzo nowoczesna, dominowały budynki tarasowe w kształcie trójkątów równoramiennych, lub prostokątnych. Moja rodzina została zakwaterowana w hotelu "Dobrotica" w skrajnych pokojach na piątym piętrze i dysponowaliśmy właśnie dużym tarasem nad niższą kondygnacją. Można się było na nim opalać na leżakach, nie wychodząc nawet na plażę. Ale raczej wychodziliśmy, bo Albena dysponowała wspaniałą, rozległą i szeroką plażą z drobnutkiem żółto-popielatym piaskiem.

Nie było dużych fal w zatoce, może dlatego bardzo popularne były przejażdżki rowerami wodnymi, dużymi

łodziami motorowymi na kilkanaście osób, jazda na nartach wod-

nych za motorówką oraz inne gry i zabawy na wodzie. Chłopcy nasi byli w swym żywiole, mieli zresztą piłkę wodną i nadmuchiwane materace. Ja z Kasią i Grażyną woziliśmy się z przyjemnością na wodnych rowerach. Te przejażdżki pozwalały mi też na wykonywanie zdjęć fotograficznych panoramy Albanii od strony morza.

Zatoka była płytka, a boje, wyznaczające głębię, pływały w odległości setek metrów od



Maciek z Grzesiem na rowerze wodnym



Stožki w Albanii

brzegu. Na plaży stały długie szeregi kolorowych parasoli przeciwsłonecznych, urządzono tu też liczne natryski oraz brodziki dla małych dzieci. W sumie doskonałe warunki dla przebywających w tym ośrodku rodzin z małymi dziećmi.

Zgodnie z programem, znów jeden dzień przypadł na autokarową wycieczkę. Byliśmy w Warnie i Złotych Piaskach. Warną to 250-tysięczne miasto, trzecie co do wielkości w Bułgarii, z dużym portem, rozbudowanym przemysłem i bardzo bogatą historią. Występuje w niej znamienity wątek polski, któremu poświęcone jest duże mauzoleum, znajdujące się na peryferiach miasta. Mianowicie w 1444 roku na polach pod Warną odbyła się bitwa pomiędzy Turkami, którzy kilkadziesiąt lat wcześniej opanowali tereny dzisiejszej Bułgarii, a wojskami chrześcijańskimi wyprawy przeciwtureckiej, którymi dowodził król Polski i Węgier, syn Władysława Jagiełły, Władysław III Warneńczyk. Zginął on w tej bitwie. Mauzoleum, jakie zwiedziliśmy ma nad swym głównym, sklepionym wejściem wielki napis "Vladislao Varnensi", nad nim godło Korony, a po bokach godła Litwy i Węgier.

Również Warną, podobnie jak Konstanca, pełna jest zabytków z czasów rzymskich i bizantyjskich. Zwiedziliśmy ruiny rzymskich term i baszt obronnych oraz wielką bizantyjską cerkiew. Oglądaliśmy również dużą, bardzo oryginalną architektonicznie, halę widowiskową, dopiero co wybudowaną, w której z pośpiechem przygotowywano się do festiwalu taneczno-śpiewaczego "Warneńskie lato", jaki miał rozpocząć się za kilka dni.

Natomiast Złote Piaski bardzo przypominały nam rumuński kurort Eforie. Głównie ze względu na usytuowanie na stokach bogato zazielenionych wzgórz przybrzeżnych. Uzdrowisko to było wtedy chyba najbardziej znane poza granicami Bułgarii, jako jedno z najstarszych i posiadające wiele ekskluzywnych hoteli oraz szeroki wachlarz usług, również artystycznych. My też byliśmy przypadkowymi świadkami jakichś występów taneczno-muzycznych bułgarskiego zespołu folklorystycznego na jednym z placów Złotych Piasków. Wycieczka Rumunia - Bułgaria 30 lipca dobiegła końca i, tym razem autokarem, wróciliśmy do Polski. W Krakowie byliśmy dopiero w dniu 1 sierpnia w godzinach wczesnorannych.

Po powrocie ze słonecznego urlopu, przede wszystkim zainteresowałem się losami mojej koncepcji projektowej na budowę Telewizyjnej Wytwórni Filmowej w Krakowie. Została ona wkrótce rozpatrzona przez warszawskiego inwestora, to jest Komitet d/s Radia i Telewizji, oraz przez Wydział Architektury Urzędu Miejskiego m. Krakowa. Przez obu decydentów inwestycyjnych koncepcja została przyjęta pozytywnie z niewielkimi tylko uwagami programowymi i lokalizacyjnymi. Można było przystępować do opracowywania kolejnej fazy projektowej, czyli założeń techniczno-ekonomicznych inwestycji. Przygotowałem umowę na ich opracowanie przez moje Krakowskie Biuro Projektowo-Badawcze Budownictwa Ogólnego (jak się od kilku lat, po kolejnej rozbudowie, nazywało), z terminem ukończenia i dostarczenia ZTE zleconodawcy w marcu 1975 roku.

Termin umowy był dość odległy, ale też przedsięwzięcie inwestycyjne było duże i skomplikowane. W zakres umowy wchodziły również założenia technologiczno-funkcjonalne, które opracowywało warszawskie Biuro Studiów i Projektów Komitetu RiTV. Głównymi moimi partnerami w tym biurze byli właśnie obaj projektanci technodolży telewizyjni, z którymi byłem na delegacji służbowej w Kopenhadze. Szereg rzeczy uzgodniliśmy zresztą już w czasie tej delegacji.

Inne tematy projektowe kontynuowane były w pracowni PW-2 bez większych komplikacji. Niektórzy byli jeszcze na urloпах pracowniczych, zaś ci, którzy z urlopów już wrócili, ochoczo kończyli stare lub zaczynali nowe tematy projektowe. A roboty było dużo, zwłaszcza związanych z projektowaniem pawilonów handlowych, szkół, żłobków itp. na nowych osiedlach krakowskich. Również dla tych tematów musiałem opracować

stosowne umowy dla inwestorów.

Trwały wakacje szkolne, Kasia miała jeszcze dwa tygodnie urlopu do wykorzystania, więc zabrała chłopców i 18 sierpnia pojechali pociągiem na ostatni w sezonie wakacyjnym dwutygodniowy turnus wczasowy do Unieścia. Po wędrownkach po czarnomorskich kurortach, pojechali dla odmiany do małej "dziury", schowanej za Mielnem na przesmyku między Bałtykiem i jeziorem Jamno. Woda, piasek na plaży i niebo nawet były tam podobne jak w Bułgarii, lecz niestety przez kilka pierwszych dni turnusu wiał zimny, porywisty wiatr i trzeba było chodzić w sweterkach, zaś na plaży spacerowały tylko mewy. Wietrzne warunki sprzyjały jedynie puszczeniu samolotu-latawca, takiego samego, jaki Grześ miał dwa lata wcześniej w Świnoujściu.

Na szczęście po kilku dniach zaświeciło słońce, zrobiło się bardzo ciepło, morze uspokoiło się i wszyscy turyści Unieścia wyszli na plażę ze swymi leżakami, a co odważniejsi zażywali kąpeli. Należał do nich zwłaszcza Grzesiek, który normalnie w wodzie czuł się jak przysłowiowa "ryba".

Rodzinka moja nie zaniedbała też okazji do zwiedzenia pobliskiego rybackiego portu Darłowo oraz dwu większych miast Koszalina i Kołobrzegu. W drodze powrotnej bardzo się spieszyli i załatwili sobie przelot sezonowym samolotem z Kołobrzegu do Krakowa. Po powrocie chwalili sobie spokojny i jodowy pobyt nad rodzimym Bałtykiem. Nie mieli jednakże zbyt wiele czasu na relacje ze swych wywczasów, gdyż na drugi dzień, po powrocie, Kasia poszła do pracy, a synowie do szkoły: Maciek już do ósmej klasy, Grzegorz do szóstej.

Ja ten wakacyjny jeszcze, dla mej rodziny, okres wykorzystałem oczywiście do pracy. Zacząłem rysować podkłady architektoniczne projektowanych obiektów TWF, nie czekając na całkowite ukończenie pełnych wytycznych technologicznych przez warszawskich projektantów. Ustaliłem z nimi zresztą w Kopenhadze, że będziemy pracować równolegle, konsultując się wzajemnie na bieżąco. Polegało to na tym, że jeździłem co kilka tygodni do warszawskiego biura ze swoimi aktualnymi rysunkami i tam, kolejno z poszczególnymi technologami, uzgadniałem wszelkie problemy projektowe. Niekiedy konsultacje te odbywały się w obecności dyr. Piątkowskiego, lub nawet w jego gabinecie, gdzie zapadały wiążące decyzje, dotyczące organizacji i struktury Wytwórni, rodzaju zastosowanego sprzętu TV, importu wyposażenia itp.

Te wyjazdy były dla mnie dość uciążliwe. Jechałem, skoro świt, do Warszawy pociągiem ekspresowym i od razu tramwajem na ul. Woronicza. Tam już na mnie czekali z materiałami i natychmiast rozpoczynały się konkretne uzgodnienia. Przechodziłem z pracowni do pracowni, bywało, że kontynuowałem konsultacje także w czasie obiadu w stołówce ośrodka TVP. Wracałem w tym samym dniu do Krakowa ostatnim ekspresem. Niekiedy, by zdążyć, odwożono mnie samochodem służbowym na Dworzec Centralny. Te bieżące robocze konsultacje były jednakże bardzo celowe i materializowały się w szybkim postępie prac projektowych.

Generalnie program inwestycji obejmował docelowo budowę wytwórni filmowej do produkcji w zamkniętym cyklu technologicznym około 148 godzin różnych materiałów filmowych, w tym 45 godzin filmu fabularnego i estradowego. Cała produkcja dotyczyła filmów i materiałów filmowych barwnych oraz telewizji kolorowej. Wytwórnia miała posiadać wszystkie konieczne do samo dzielnej działalności wydziały produkcyjne, a między innymi wydziały udźwiękowienia i synchronizacji oraz obróbki taśmy filmowej. Przewidywano również stosowanie magnetycznego zapisu obrazu, co zresztą zawarto w tytule inwestycji: Telewizyjna Wytwórnia Filmowa. Ustalono, że wytwórnia stanowić będzie dwuhalowy zespół o zróżnicowanych wielkościach hal zdjęciowych.

Z uwagi na wielkość inwestycji i możliwości finansowania, podzielono jej realizację

na dwa podstawowe etapy, z których każdy miał stanowić oddzielne przedsięwzięcie inwestycyjne. I etap obejmował halę zdjęciową 30*36 m oraz wszystkie niezbędne do jej pracy wydziały, za wyjątkiem wydziałów dźwięku i obróbki taśmy, a także większą część infrastruktury komunikacyjnej i uzbrojenia terenu.

Etap II objął halę zdjęciową 24*30 m wraz z odpowiednim zapleczem produkcyjnym, budynkiem biurowym i budynkiem wydziału dźwięku i obróbki taśmy. Celem zapewnienia pełnosprawnej produkcji filmowej po ukończeniu budowy I etapu Wytwórni, dokonano w projektach dla tego etapu pewnych adaptacji funkcjonalnych, zabezpieczających obsługę produkcji w zakresie nagrań dźwiękowych, prac krawieckich, magazynowania kostiumów itp., na okres do czasu ukończenia realizacji II etapu. Realizacja I etapu miała umożliwić osiągnięcie zdolności produkcyjnych w skali roku w wysokości 18 godzin filmu fabularnego i estradowego, 23 godzin innych samodzielnych form filmowych oraz 80 godzin materiałów filmowych, jako usług dla OTV. Czyli łącznie 121 godzin emisji.

Po około dwóch miesiącach opracowałem podkłady projektowe, to jest planszę sytuacyjną oraz rzuty i przekroje budowli, dla branż projektowych i do szczegółowego usprzętowania technologicznego. Od tego momentu moja praca w większości sprowadzała się do koordynowania opracowań branżowych. Te z nich, które opracowywane były w biurze krakowskim, wykonywali główni projektanci zaangażowani wcześniej przy eksportowym projekcie budowy miasta Mishraq w Iraku. Konstrukcje budowli należały do Z. Piątka, instalacje sanitarne i uzbrojenie terenu do R. Flisowskiego, zaś instalacje elektroenergetyczne i sieci energetyczne do A. Schillera.

Nie mieli oni łatwego zadania. Konstrukcje budynków przewidywałem jako prefabrykowane, więc Zdzychu musiał te prefabrykaty wymyślić i wyliczyć. Rysiek miał do zaprojektowania wszystkie instalacje sanitarne, grzewcze i bardzo skomplikowaną klimatyzację oraz duży osadnik ścieków sanitarnych i ich pompowanie na odległość półtora kilometra. Natomiast do Olka należało m. in. zaprojektowanie stacji transformatorowej na 2 GW mocy (jak dla małego miasta) i zasilania kablowego z odległości prawie kilometra.

Budowę I etapu przedsięwzięcia przewidywano w latach 1976-79. Ale już w 1975 roku miał być wybudowany główny magazyn (rekwizytów i materiałów dekoracyjnych), prowizoryczna trafostacja, dojazdy drogowe oraz sieć wodociągowa na plac budowy. W szczególności budowa magazynu, zresztą bardzo duże go, bo o wymiarach 60*24 m, sprowadzała się do montażu gotowych prefabrykowanych elementów, które inwestor już posiadał. Na moją propozycję ten docelowy magazyn rekwizytów miał w trakcie budowy służyć generalnemu wykonawcy robót na składowanie materiałów i sprzętu budowlanego, wyposażenia instalacyjnego i technologicznego. Tak też się później stało, magazyn oddany został do użytku w marcu 1976 r. i pozwolił uniknąć budowy różnych prowizorycznych magazynów dla potrzeb generalnego wykonawcy i podwykonawców robót.

Na święta Bożego Narodzenia 1974 r. pojechaliśmy znów do mej siostry we Wrocławiu. Był dodatkowy, nowy powód dla tego rodzinnego spotkania. Zapoznaliśmy się z Krzysztofem, naręczonym mej siostrzenicy Grażyny. Wyróżniał się on co najmniej dwoma istotnymi cechami: miał jak Fidel Castro gęstą, czarną brodę dookoła twarzy i dobrze grał w brydża.

Główne przyjęcie wigilijne odbyło się w nowej willi brata mego szwagra, Wieśka. Był on inżynierem sanitarnym i pracował na stanowisku kierowniczym w swej branży w Kombinacie Górniczo-Hutniczym Miedzi w Lubiniu. Dobrze zarabiał, był samotny, zakład pracy pomógł pożyczkami i brygadą budowlaną - dorobił się więc okazałej, piętrowej willi na Oporowie we Wrocławiu.

Oba dni świąteczne były słoneczne, bez śladu śniegu, to też spacerowaliśmy chętnie, po trudach biesiadowania, po Parku Szczytnickim, w rejonie Hali Ludowej i wzdłuż brzegów Odry. Z Grzesiem wybrałem się dodatkowo na objazd nowych osiedli wrocławskich. Wszak czułem się Wrocławianem i wszystko, co działo się w tym mieście, żywo mnie interesowało.

Piękna pogoda utrzymywała się nadal, więc już z Krakowa, w czasie zimowych ferii szkolnych, Kasia z obu synami pojechali jeszcze, przy jakiejś okazji, na kilka dni do Krynicy Górskiej. Również i tam nie było śniegu. Najwyraźniej zima 1974/75 bardzo się opóźniała i omijała nawet nasze górskie kurorty, które normalnie żyją ze śniegu. Ja rodzinie do Krynicy nie towarzyszyłem, urlop oszczędzałem na okres letni, a poza tym, jak zwykle, miałem dużo pracy w swym biurze projektowym. Punkt ciężkości opracowywania założeń techniczno-ekonomicznych na budowę wytwórni TV przesunął się wprawdzie na zespoły branżowe, ale zajmując się głównie koordynacją całości prac, wykańczałem jeszcze swe autorskie opracowania. Poza tym otrzymałem nowe zlecenie z krakowskiego Ośrodka TV.

Dotyczyło opracowania koncepcji własnego hotelu OTV w bezpośrednim sąsiedztwie istniejącego Ośrodka, na południowym stoku Wzgórza "Krzemionki". Były tam pola uprawne bez jakichkolwiek zabudowań, a nawet bez drzew. Dobre miejsce do budowy nie tylko jednego budynku, lecz całego zespołu wielokondygnacyjnych obiektów. Zaczęłem robić szkice zagospodarowania i zaproponowałem lokalizację trzech sporych hoteli oraz krytego basenu kąpielowego o wymiarach 50*20 m. Hotele rozwiązałem jako 4-5 kondygnacyjne budynki tarasowe, połączone wspólnym łącznikiem i piętrowym pawilonem gastronomiczno-światlicowym, o łącznej kubaturze 33 tys. m³ i powierzchni użytkowej 8 tys. m². Tylko jeden z nich, na 120 miejsc hotelowych, miał być realizowany dla potrzeb OTV, dwa pozostałe proponowałem jako rezerwę perspektywiczną. Natomiast budynek kąpieliska, o kubaturze 37 tys. m³, był ofertą dla Klubu Sportowego "Korona", którego główny stadion sportowy znajdował się tuż obok.

Te dwie koncepcje projektowe ukończyłem jednakże już po przekazaniu zleńciodawcy gotowych, kompletnych założeń techniczno-ekonomicznych na budowę I etapu TWF, co nastąpiło w marcu 1975 r. Po tym terminie wykonywaliśmy jeszcze dla TWF jedynie dużą makietę, dodatkowo zleconą przez inwestora. Bezpośrednio tę bardzo pracochłonną makietę przez kilka miesięcy wykonywał Kazio Morawiec w moim zespole projektowym. Makietą była kolorowa, bardzo realistyczna, miała wymiary 70*100 cm i obejmowała oba etapy realizacyjne, oraz dodatkowo (przez dokładanie) propozycję perspektywicznej rozbudowy Wytwórni o trzecią halę zdjęciową. Wykonana była rzeczywiście wspaniale.



Makieta Telewizyjnej Wytwórni Filmowej

Po opracowaniu kilku koreferatów i analiz, założenia I etapu TWF zostały w dniach 9 i 10 czerwca 1975 r. rozpatrzone i zatwierdzone przez połączone zespoły opiniujące Miejskiej Komisji Planowania w Krakowie i Komitetu Radia i Telewizji w Warszawie. Przygotowałem więc i wysłałem inwestorowi zastępczemu tj. DBOR-KM umowę na opracowanie projektów technicznych wszystkich obiektów wchodzących w skład I etapu inwestycji i dostarczenie ich sukcesywnie w terminach do dnia 30 czerwca 1976 roku. Od tego momentu nie pozostawało mi nic innego, jak czekać na przyjęcie oraz podpisanie umowy przez inwestora i zainteresować się własnym urlopem.

W czerwcu 1975 r. Grzegorz ukończył naukę w szóstej klasie, zresztą z bardzo dobrymi ocenami. Zaś Maciek uzyskał świadectwo ukończenia 8-klasowej szkoły podstawowej. Miał tylko dwie oceny dobre z języków polskiego i rosyjskiego, wszystkie pozostałe zaliczył z oceną bardzo dobrą. Zakwalifikował się też do okręgowych olimpiad matematycznej i fizycznej, uzyskując w nich znaczące, nagradzane miejsca. Otrzymał w związku z tym skierowanie do V Liceum Ogólnokształcącego im. A. Witkowskiego w Krakowie, ze specjalnością matematyki i fizyki. W załączonej do świadectwa karcie informacyjnej ucznia także oceniony został w samych superlatywach: b. pilny, systematyczny, samodzielny, wytrwały, zrównoważony, pracuje szybko, właściwie ocenia swe możliwości.

Maciek ukończył też z wynikiem dobrym czteroletni kurs języka francuskiego w Krakowskim Domu Kultury "Pałac pod Baranami". Niewątpliwie zasłużył sobie na jakąś nagrodę od swych rodziców. Wybrał ją sam w sklepie ze sprzętem sportowym przy ul. Szewskiej. Kupił mu wyścigowy rower "Jaguar" o wąskich oponach i z przerzutkami biegów, szczyt nowości i marzeń nastolatków. Dotychczasowy składak, jaki posiadał, przypadł w udziale Grzesiowi. Maciek nie miał jednakże wiele czasu, by się swym nowym rowerem nacieszyć, gdyż jeszcze w czerwcu, tuż po zakończeniu roku szkolnego, pojechaliśmy na dwutygodniowe wczasy do Sopotu nad polskim Bałtykiem.

Tym razem też skorzystaliśmy, już po raz piąty, z usług "Turysty", lecz nie były to wczasy grupowe, lecz typowo indywidualne, bez określonego programu pobytu i bez przewodnika. Zakwaterowani zostaliśmy w prywatnym domu rodzinnym, gdzie mieliśmy wygodne dwa pokoje z łazienką i dostępem do kuchni. Na podstawowe posiłki chodziliśmy do małej jadalni, znajdującej się także w prywatnym domu jednorodzinnym. Te warunki bytowe stanowiły dla nas zupełnie wystarczającą bazę dla realizacji naszego głównego celu wczasów, jakim było nasycenie się powietrzem i widokami morskimi oraz zwiedzenie Trójmiasta: Gdańska, Sopotu i Gdyni. Rolę przewodnika spełniałem ja sam po zaopatrzeniu się w mapy i foldery turystyczne Trójmiasta.

Nasi chłopcy nie wymagali już trzymania za ręce, by nie zgubili się w tłumie ludzi i nie pobłądzili w gąszczu ulic. Przez ostatnie 2-3 lata bardzo wydorosli pod każdym względem. Piętnastoletni Maciek przerastał już swą mamę o pół głowy, a trzynastoletni Grześ zrobił się szczupły jak wykrzyknik i też piał się ostro w górę. Mój scenariusz wycieczek musiał te nowe okoliczności naszych kolejnych wczasów rodzinnych uwzględnić, chociażby np. przez wieczorne zahaczanie o sopockie dyskoteki. Ale nie musiałem zmieniać generalnego zamierzenia naszego pobytu, czyli zwiedzenia Trójmiasta, w którym wszyscy byliśmy po raz pierwszy przez dłuższy czas.

Zaczęliśmy oczywiście od Sopotu, zaliczając go w znacznej mierze już pierwszego popołudnia w jednym dłuższym spacerze przez półkilometrowe molo, skwer i plażę w sąsiedztwie dostojnego Grand Hotelu oraz główny deptak handlowo-rozrywkowy od Placu Zdrojowego do Dworca PKS. Najwyraźniej deptak ten stanowił najchętniej odwiedzane przez turystów miejsce w Sopocie. Kuśił kolorowymi dekoracjami, balonikami, efektownym oświetleniem wieczornym i oferowanymi usługami, głównie konsumpcyjnymi. Jak przystało na wczasy z podrastającą młodzieżą, dzień zakończyliśmy w wielkiej, błyskającej kolorowymi światłami, dyskotece. Na mój gust było zdecydowanie za dużo hałasu w tym tanecznym przybytku, ale widać decyzje były w modzie i trzeba było się z tym pogodzić. Miało to tę zaletę, że w czasie tańca nie dało się rozmawiać.

Kilka dni poświęciliśmy na zwiedzenie Gdańska. Pojechaliśmy do tego największego polskiego miasta nad Bałtykiem najwygodniejszym środkiem komunikacji Trójmiasta, czyli szybką koleją miejską, wybudowaną w kilka lat po wojnie. Z dworca kolejowego

wędrowaliśmy różnymi ulicami, ale zawsze w kierunku Długiego Targu, mijając po drodze konny pomnik Jana III Sobieskiego, przeniesiony swego czasu ze Lwowa, oraz nowo wybudowany okazały teatr "Wybrzeże".

A ulica Długa i Długi Targ to taki centralny deptak Gdańska z Ratuszem, pomnikiem Neptuna z trójzębem i dziesiątkami pięknie odbudowanych kamieniczek.

Wojna całą gdańską Starówkę zamieniła w jedno wielkie gruzowisko, zupełnie tak samo jak Starówkę Warszawską i Śródmieście Wrocławia. Tylko determinacja centralnej, silnej władzy państwowej mogła z gruzów tych wskrzesić na powrót tętniące życiem ulice i kwartały domów, budując je właściwie na nowo, jako zabytkowe relikty przeszłości. W 1975 roku Starówka Gdańska jeszcze nie w pełni była odbudowana, ale właśnie oddano do użytku kilka "nowych" ulic, równoległych do Długiego Targu. Zwiedzaliśmy te odbudowane ulice, katedrę Św. Marii Panny, największą w Polsce, a także Nabrzeże Motławy z Żurawiem i Bramą Chlebnicką.



Przed ul. Długi Targ

Podczas jednego z pobytów na Długim Targu, odpoczywaliśmy na kamiennej ławie, gdy od strony ul. Długiej nagle zagaęściło

się od ludzi i usłyszeliśmy oklaski. Za chwilę obok nas środkiem deptaka przeszła spora grupa ludzi, a wśród nich w pierwszym szeregu, zresztą najwyżsi wzrostem, szli prezydent Francji Valery Giscard d'Estaing i premier Piotr Jaroszewicz z małżonką. Prezydent Francji, oklaskiwany przez szpaler gapiów, zgromadzonych wzdłuż Długiego Targu, odwzajemniał się machaniem ręki. Po czym cała grupa osób, w tym liczni lokalni



Prezydent Francji i premier Jaroszewicz

szła. Giscard był prezydentem od niespełna roku, został nim po śmierci swego poprzednika Pompidou. Była to jego pierwsza oficjalna wizyta w Polsce, związana z pogłębianiem się wszechstronnej współpracy obu państw.

W jednym dniu specjalnie przyjechaliśmy do Gdańska na Przystań Żeglugi Gdańskiej na Motławie przed Długim Targiem, by pojechać statkiem na wycieczkę na Westerplatte. Dołączyliśmy do jakiejś zorganizowanej grupy, która miała swego przewodnika. Jechaliśmy wiele kilometrów meandrami Motławy i Martwej Wisły, a po bokach cały czas mieliśmy dość chaotyczny krajobraz przemysłowy. Zwiedzanie samego Półwyspu Westerplatte to też kilometrowy spacer: ulicą mjr. Sucharskiego, obrońcy polskiej placówki w 1939 r., pomnik-czołg T-34 z 1 brygady Pancernej, ruiny wartowni, wreszcie monumentalny pomnik Obrońców Westerplatte na sztucznie usypanym wzgórzu i, dzięki temu, górujący nad całą okolicą. Akurat jakaś młodzieżowa grupa składała kwiatowe wieńce u stóp pomnika, więc nasi chłopcy, jakby przyłączyli się do tej grupy.



Maciek na Westerplatte

Bodaj przez trzy dni zwiedzaliśmy Gdynię. Również do tego miasta najwygodniej jechało się elektryczną kolejową linią miejską. Punktem startowym w mieście był dla nas Skwer Kościuszki z pięknymi fontannami. Wiele godzin zabawiliśmy na moło południowym, cumował przy nim jakiś duży, elegancki statek pasażerski. Zwiedziliśmy muzeum



Grześ przed historycznym ORP „Burza”

oceanografii z wielkim akwariem morskim, targi rybne, basen jachtowy, a przede wszystkim wysłużony ORP "Burza", stojący przy nabrzeżu jako pływające muzeum. Okręt ten wslawił się walkami z Kriegsmarine w czasie II wojny światowej, weteran m. in. kampanii morskiej w rejonie Narwiku. Odwiedzały go głównie młodzieżowe wycieczki. Nasz Grześ zabawiał się w artylerzystę, sadowiąc się na stanowisku obsługi działka przeciwlotniczego i kręcąc nim na wszystkie strony.

Druga trasa naszej marszruty wiodła na Kamienną Górę, na której szczycie, z platformy widokowej, można było z góry obserwować morze, port, stocznię i pół miasta. Zwłaszcza, że mieliśmy dobrą wojskową lornetkę. Potem zejście pięknymi tarasowymi skwerami na podnóże Góry pod pomnik gdyńskich harcerzy i wędrownka po śródmiejskich ulicach. Oczywiście Kasia co chwilę zaglądała do co okazalszych sklepów, głównie odzieżowych. Po za tym duże i eleganckie sklepy Gdyni wydawały się jej lepiej zaopatrzone niż krakowskie. Na tych sondażach skorzystał Maciek, który wypatrzył dla siebie w jednym z magazynów konfekcyjnych niebieski garnitur, o jakim chyba marzył od pewnego czasu. Tak nalegał i marudził, że mu go kupiliśmy, co nie było takie proste, bo wprawdzie musiałem pobrać w banku odpowiednią kwotę na książeczkę oszczędnościową.

Każde zwiedzanie Gdyni kończyliśmy kilkugodzinnym pobytem na plaży przy Bulwarze Nadmorskim. Byliśmy też oczywiście kilka razy na plażach w Sopocie i Jelitkowie. Zaliczyliśmy również, zagubiony w gęstym lesie, sopocki amfiteatr Operę Leśną, w którym zaczęto właśnie renowacyjne roboty przygotowawcze do sierpniowego festiwalu. W Oliwie zwiedziliśmy przepiękny Park Oliwski i gotycką katedrę z pierwszej połowy XIII wieku. We wnętrzu kościoła podziwialiśmy słynne XVIII-wieczne organy, na których, od czasu odbudowy w 1958 roku, co roku odbywają się festiwale muzyki organowej.

W drodze powrotnej z nadmorskich wczasów pojechaliśmy wprawdzie do Wrocławia na ślub Grażyny. Wychodziła za mąż za znanego nam już Krzysztofa Bernackiego. Huczne przyjęcie weselne odbyło się u jej wujka Wiesia na Oporowie. Miał tam dużą willę, w której bez problemu pomieściło się kilkudziesięciu biesiadników. W czasie przygotowań weselnych, gdy wszystkie panie były zajęte, porwałem Grzesia i Janusza i w trójkę powalęsaliśmy się po Świdnickiej, Rynku i okolicy. Bo nazajutrz wracaliśmy już do Krakowa.

Gdy pojawiłem się w biurze, sekretarka pracowni poinformowała mnie w pierwszym rzędzie o tym, że umowa na opracowanie techniczno-roboczej fazy dokumentacji projektowej na budowę Telewizyjnej Wytwórni Filmowej w Krakowie została już przez inwestora podpisana. Należało więc jak najszybciej przystąpić do roboty, bo był to temat największy w pracowni, zresztą także w całym biurze, a czasu na opracowanie całości dokumentacji nie było zbyt wiele.



Ślub Grażyny

Tak się składa, że w zasadzie wszelkie prace projektowe, dotyczące obiektów kubaturowych, zaczyna, a także kończy, architekt. Na początku musi on opracować podkłady projektowe, to jest głównie rzuty budowli, dla zespołów branżowych. Na końcu zaś w swym projekcie architektonicznym musi uwzględnić i nanieść wszystkie podstawowe szczegóły budowlane i instalacyjne z branżowych opracowań. Zabrałem się więc ostro do pracy, zaczynając od obrysowania podkładów dla segmentu B-1. Mianowicie cały duży blok główny TWF podzieliłem na 9 części, oddzielonych zresztą od siebie dylatacjami budowlanymi. Pozwoliło to na oddzielne i sukcesywne opracowywanie poszczególnych segmentów. Było to też konieczne ze względu na rozmiar rysunków, wykonywanych w skali 1:50, bo nie mogły one być większe od wymiarów stołu kreślarskiego.

Przed wszystkim zgłosiłem dyrektorowi, że wobec ogromu własnych prac projektowych, powinienem zrezygnować z dotychczasowych 3/4 etatu kierownika pracowni i przejść na pełny etat projektanta. Stało się na tym, iż najdalej do końca września zostanie jednak nadal na stanowisku kierownika pracowni w dotychczasowym wymiarze etatu, a Dyrekcja w międzyczasie poszuka i zaangażuje następcę. Tymczasem zorganizowałem sobie pracę w ten sposób, że dwa dni w tygodniu wyłączałem się całkowicie ze spraw kierowniczych i pracowałem przy stole rysunkowym. Poza tym wypożyczyłem z biura drugi stół kreślarski, jaki zainstalowałem w swym mieszkaniu. Po pracy w biurze przechodziłem więc do pracy w domu, lub w ogóle całymi dniami nie chodziłem do biura. Zresztą na pracę przeznaczałem również 2 tygodnie swego urlopu wypoczynkowego i poświęcałem jej po 12-15 godzin dziennie.

A do narysowania miałem 28 arkuszy samych rzutów podkładowych dla głównego bloku TWF, zaś dwa razy tyle, jeśli uwzględnić także przekroje i elewacje budynków. Rysowało się jednak szybko, zwłaszcza, że dysponowaliśmy w biurze najnowocześniejszym, bardzo sprawnym sprzętem z importu. Na przykład w miejsce dawnych prymitywnych grafionów do rysowania tuszem, miałem nowoczesne rapidografy z własnymi zbiornikami tuszu i z końcówkami o różnej grubości, które nie wymagały żadnej regulacji. Na wszystkie swe rysunki stosowałem też najwyższej jakości fińską kalkę techniczną, na której można było wiele razy przedrapywać i zmieniać czy poprawiać rysunki.

Nic dziwnego, że w tej sytuacji arkusze podkładowe dla pierwszego segmentu TWF dostarczyłem zespołom konstrukcyjnemu i instalacyjnemu już po dwóch tygodniach, a dla następnych segmentów kolejno w odstępach średnio co 10 dni. Wszyscy zaangażowani przy temacie TWF, w tym ponad połowa pracowników PW-2, mieli więc wkrótce pełne ręce roboty i podjęli wyścig z czasem, wyznaczonym przez terminy umowne dostarczenia dokumentacji zleconiodawcy.

W miesiącach lipcu i sierpniu 1975 r. moja rodzina nadal kontynuowała letnie wakacje szkolne. Jeszcze w pierwszej połowie lipca obaj synowie wyjechali po raz drugi na dwutygodniowe kolonie do Nowego Targu. Przebywali tam bowiem już w poprzednim roku i repetując je, spędzali czas w podobny sposób. Głównie na zespołowych grach, zabawach, kąpielach w Dunajcu i na wycieczkach po okolicznych, pięknych terenach podgórskich. Maciek na turnusie sprawował dodatkowo funkcję kierownika sekcji sportowej całego obozu kolonijnego.

Natomiast w sierpniu Kasia z chłopcami pojechali z "Juventurem" na dwutygodniowe wczasy do Bułgarii. Cała grupa wycieczkowa poleciała samolotem czarterowym do Burgas, a stamtąd autokar zawiózł ich do Primorska, położonego nad Morzem Czarnym, niespełna 40 kilometrów od granicy bułgarsko-tureckiej. Primorsko to spory ośrodek turystyczno-wypoczynkowy, ale przede wszystkim międzynarodowy młodzieżowy ośrodek wypoczynkowy z dwoma hotelami i polami campingowymi. W jednym z tych hoteli zakwaterowała właśnie moja rodzinka, gdyż i w tym przypadku synowie, jako

harcerze, byli gośćmi tego młodzieżowego ośrodka.

Niestety pobyt w Primorsku zaczął się dla moich milusińskich fatalnie. Po pierwsze zachorował Grzesiek i część turnusu przeleżał w łóżku. Po prostu przeziębził się, chyba po butelce zimnej pepsi, jaką wypił na lotnisku w Balicach, tuż przed odlotem samolotu. A po wtóre, w dniu ich przybycia do Bułgarii, w rejonie Primorska wystąpiły bardzo ulewne deszcze, powodując powódź w mieście i zalewając po dachy samochody na pobliskim campingu. Z konieczności poszkodowani turyści samochodowi zostali potem rozlokowani w stałych hotelach i w pokoju zajmowanym przez moją rodzinę zamieszkała dodatkowo, na okres kilku dni, jakaś para małżeńska.

Oczywiście w dalsze dni turnusu było słonecznie i gorąco, jak na Bułgarię przystało, to też wiele czasu moja familia spędziła na spacerach, wycieczkach autokarowych, a głównie na plaży czarnomorskiej. Na plaży Grzegorz zabawiał się puszczaniem swego samolotu-latawca, z obracającymi się na wietrze skrzydełkami, który przywiózł z Polski. Samolocik ten zrobił wśród wielonarodowych turystów w Primorsku furorę nie mniejszą, niż kilka lat wcześniej na plaży w niemieckim Ahlbecku.

W sumie ten czwarty już pobyt wakacyjny mej rodziny nad Czarnym Morzem nie był jednak całkowicie udany i tylko Maciek wspomina go z wielką sympatią, bo jedynie on korzystał w pełni z przyjemności plaży i licznych rozrywkowych spotkań, gier, występów estradowych w lokalnym amfiteatrze, oraz zabaw z różnojęzyczną młodzieżą ośrodka w Primorsku.

Wraz z czarnomorskimi wczasami skończył się też czas wakacji szkolnych i obaj synowie kontynuowali swą naukę. Maciek zaczął uczęszczać do klasy pierwszej V Liceum Ogólnokształcącego przy ul. K. Świerczewskiego, odległej od naszego miejsca zamieszkania około 600 m, więc chodził na piechotę. Grzegorz do klasy siódmej Szkoły Podstawowej nr 19 im. J. Gagarina, przechodził więc nadal tylko przez ulicę.

Ja oczywiście przez cały wakacyjny czas, w lipcu i sierpniu, usilnie pracowałem nad swym projektem techniczno-roboczym I etapu realizacyjnego TWF. Obejmował on obiekty o kubaturze 90 tys. m³ i 13.400 m² powierzchni użytkowej. Były to: zdecydowanie największy budynek główny, magazyn rekwizytów i techniczny budynek pomocniczy z rozdzielnią energetyczną. W budynku głównym znajdowało się ponad 300 pomieszczeń różnej wielkości i o różnorodnym przeznaczeniu. Tworzyły one wydziały funkcjonalne Wytwórni: administracji, organizacji produkcji, żywienia, obsługi aktora, kostiumersko-perukarski, techniki zdjęciowej, rejestracji telewizyjnej, fundusu i rekwizytów, montażu dekoracji i warsztaty budowy dekoracji.

Największym pomieszczeniem była hala zdjęciowa o powierzchni 1000 m² i wysokości 11,40 m. Według informacji, jakie podano mi w KRiTV, była to podówczas największa hala studyjna w Europie. Została zaprojektowana i wykonana potem tak, że nawet odgłos upustu pary w elektrociepłowni w Łęgu, lub przelatującego odrzutowca, nie docierał do jej wnętrza. Nie miała własnego ogrzewania, natomiast posiadała pełną klimatyzację, działającą zresztą automatycznie według założonych parametrów. Prócz nawiewu świeżego powietrza, o określonej wilgotności i temperaturze, głównym celem klimatyzacji było usunięcie nadmiaru ciepła, wydzielanego przez setkę reflektorów studyjnych, zawieszonych na specjalnym suficie rusztowym. Dla obsługi klimatyzacji zastosowałem 4 wielkie bloki klimatyzacyjne produkcji NRD, jakie rok wcześniej wypatrzyłem na Targach Lipskich.

Z większych pomieszczeń TWF można by wymienić jeszcze kawiarnię, restaurację z zapleczem, reżysernię wizji i fonii, obszerne montażownie dekoracji, a także zespół warsztatów budowy dekoracji. Ten ostatni obejmował stolarnię ręczną i mechaniczną, tapicernię, malarnię, sztukatornię, szklarnię, ślusarnię, kuźnię i obróbkę mechaniczną.

W trakcie projektowania musieliśmy rozwiązać szereg problemów, między innymi związanych ze złymi warunkami geologiczno-inżynierskimi terenu inwestycji. W tym miejscu przebiegało kiedyś koryto Wisły, w wyniku czego na fragmencie działki występowała kurzawka oraz wysokie, zmienne zwierciadło wody gruntowej. Staralem się posadowić projektowane budynki możliwie najwyżej, ale i tak w części piwnic segmentu B-1 okazało się niezbędne zastosowanie szczelnej wanny żelbetowej. Natomiast magazyn główny, usytuowany częściowo na kurzawce gruntowej, posadowiliśmy na betonowych palostudniach o długości ok. 5 metrów. Ten magazyn główny generalny wykonawca robót budowlanych, którym zostało Zjednoczenie Budownictwa Miejskiego "Budopol" w Krakowie, rozpoczął realizować już w połowie 1975 roku. Projekt techniczny na jego budowę przygotowaliśmy bowiem wcześniej, na początku roku, równoległe z założeniami technicznymi I etapu TWF.

Gotową ukończoną dokumentację techniczno-roboczą dla segmentów B-1 i B-2 budynku głównego biuro przekazało inwestorowi już w listopadzie, zgodnie z harmonogramem, załączonym do umowy. Następne segmenty kończyliśmy sukcesywnie w odstępach co 1-2 miesiące.

Którejś wrześniowej niedzieli odwiedziła nas moja siostrzenica Grażyna, wraz ze swym mężem Krzysztofem. Kupiłem wtedy od niego kalkulator elektroniczny amerykańskiej firmy "Texas Instruments". Była to absolutna nowość, w ogóle pierwsze kalkulatory elektroniczne na świecie wyprodukowane zostały przez tę właśnie firmę w 1971 roku. Egzemplarz, jaki kupiłem, był kolejną mutacją pierwowzoru, miał kształt łódki i posiadał już ciekłokrystaliczny wyświetlacz cyfrowy. Używałem go do różnych egzotycznych obliczeń, jak np. objętości i powierzchni słońca, wzrostu masy ciał poruszających się z szybkością bliską światłu itp. A zapłaciłem za to чудо aż 10 tys. złotych, to jest kwotę, za jaką dwie osoby mogłyby pojechać na dwutygodniowe wczasy zagraniczne.

Od 1 października wróciłem w pełnym wymiarze etatu na stanowisko starszego projektanta architektury. Kierownictwo pracowni PW-2 przejął nowo zaangażowany do biura, nieco starszy ode mnie, inżynier budowlany Franciszek Cedrowski. Sprawował już wcześniej różne stanowiska kierownicze w innym biurze projektowym, był dobrym organizatorem, pełen energii i pomysłów. Ja, w każdym bądź razie, mogłem wreszcie całkowicie skoncentrować się na kontynuowaniu swego "projektu życia", to jest Telewizyjnej Wytwórni Filmowej.

Zachowałem dotychczasowe warunki płacy, a mianowicie pensję w wysokości 5 tys. złotych plus premia, liczona według tak zwanego przerobu. W miejsce dodatku funkcyjnego za kierownictwo pracowni, otrzymałem dodatek funkcyjny 700 zł za sprawowanie funkcji generalnego projektanta TWF na okres do czasu ukończenia realizacji tego obiektu.

W latach 1974 i 1975 najbardziej dalekosiężnym wydarzeniem gospodarczym i geopolitycznym w świecie była znacząca podwyżka cen ropy naftowej, dokonana przez państwa OPEC, żądające opuszczenia przez Izrael okupowanych terytoriów arabskich. Państwa rozwinięte zareagowały szerokimi programami oszczędnościowymi, a wierzycciele podnieśli oprocentowanie, udzielonych przez nich wcześniej, pożyczek finanso-



My z Maćkiem i Grażyną z Krzysztofem

wych. Uderzyło to podwójnie w Polskę, która w 1975 r. miała trudności w spłaceniu rat od dolarowych kredytów pieniężnych, pobranych w pierwszych latach dekady. Po drugie złudnym okazały się plany eksportowe towarów, produkowanych w licznych nowowybudowanych zakładach przemysłowych, na rynki zachodnie.

W 1974 roku dokonał się przewrót wojskowy w Portugalii, określany jako rewolucja "czerwonych goździków", zaś w następnym wybuchły wojny domowe w Etiopii i Libanie. W kwietniu 1975 zakończyła się ostatecznie wojna na Półwyspie Indochińskim, gdy rząd Południowego Wietnamu ogłosił bezwarunkową kapitulację swych wojsk wobec Vietcongu i rozpoczął się proces jednoczeniowy obu państw wietnamskich. Do ważniejszych wydarzeń geopolitycznych 1975 r. zaliczyć jeszcze można wybuch wojny domowej w Libanie pomiędzy Muzułmanami i Chrześcijanami, a także ponowne otwarcie kanału Sueskiego, unieruchomionego w 1967 r. w trakcie wojny izraelsko-arabskiej. Z drugiej strony w Helsinkach zawarty został międzynarodowy układ, regulujący zasady pokojowego współistnienia państw o różnych ustrojach politycznych. Zaś w Kosmosie nastąpiło spektakularne połączenie dwóch statków kosmicznych: radzieckiego "Sojuz 19" i amerykańskiego "Apollo", jako wyraz współpracy naukowej między obu tymi państwami.

W Polsce w 1975 roku, w ramach reorganizacji administracyjnej kraju, utworzono 49 nowych województw w miejsce dotychczasowych 17-tu, przy równoczesnej likwidacji powiatów. Chodziło oczywiście o umocnienie i większą centralizację władzy państwowej, a wzorowano się na podziale Francji na 90 podobnej wielkości departamentów. Tam ta struktura departamentów dobrze służy stabilnej, zintegrowanej państwowości niezmiennie od czasów Ludwika XIV, który wprowadził ten podział kraju wbrew ówczesnym podziałom narodowościowym, aspiracjom dynastycznym i ambicjom lokalnych elit władzy. Natomiast likwidację powiatów uzasadniano tym, że spełniały one dobrze swą rolę w okresie komunikacji konnej, zaś dla epoki szybkich samochodów lepsze są odpowiedniej wielkości województwa, jako podstawowe, pośrednie ogniwa zarządzania między gminami a stolicą